

ZŁOTE
MYŚLI

W otchłani śmierci

czyli jak radzić sobie
po stracie dziecka



Karolina Zwolenkiewicz

Ten ebook zawiera darmowy fragment publikacji "[W otchłani śmierci](#)"

Darmowa publikacja dostarczona przez [JacekSztucki.pl](#)

Copyright by Złote Myśli & Karolina Zwolenkiewicz, rok 2008

Autor: Karolina Zwolenkiewicz
Tytuł: W otchłani śmierci

Data: 21.03.2011

Wydawnictwo Złote Myśli Sp. z o.o.
ul. Daszyńskiego 5
44-100 Gliwice
www.zlotemysli.pl
email: kontakt@zlotemysli.pl

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawcę. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody Wydawcy. Zabrania się jej odsprzedaży, zgodnie z regulaminem Wydawnictwa Złote Myśli.

Autor oraz Wydawnictwo Złote Myśli dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo Złote Myśli nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	5
CZEŚĆ PIERWSZA	7
ROZDZIAŁ I	8
08 września – czwartek.....	8
Upalna sobota – 10 września 2005 r.....	8
W tym samym czasie.....	18
W głowie Macieja.....	22
Północ.....	24
ROZDZIAŁ II	25
Oddział ginekologiczny.....	25
***.....	32
ROZDZIAŁ III	
DYLEMATY MACIEJA	34
Niedziela rano, 11 września.....	34
Sala pooperacyjna.....	35
ROZDZIAŁ III	
MACIEJA MYŚLI	41
Niedziela po południu, 11 września.....	41
Niedziela wieczór.....	41
Poniedziałek 12 września.....	42
Piątek 16 września. Dzień pogrzebu.....	42
ROZDZIAŁ IV	
POWRÓT DO DOMU	45
***.....	47
Pierwsza wizyta na cmentarzu.....	47
Pusty dom.....	49
CZEŚĆ DRUGA	54
BŁĘDY, JAKICH MOŻNA UNIKNAĆ	55
Kobieta i mężczyzna – jak przeżywają stratę?.....	55
SZPITAL.....	57
Praktyczne porady dla ojców, którzy doznali straty dziecka.....	57
Grupy wsparcia.....	64
Nie wstydz się łez.....	66
Rodzeństwo zmarłego dziecka.....	68
POGRZEB.....	69
ZACHOWANIE OTOCZENIA	75
Nasze dziecko ma imię.....	78
Nie martw się, jesteście młodzi.....	79
Kobieta w ciąży a osierocona matka.....	82
Mity.....	84
CZAS ŻAŁOBY	90
Święta.....	94
Dzień Matki.....	95
Dzień Ojca.....	96
Dzień Dziecka.....	97
Dzień Dziecka Utraconego – 15 października.....	97

<u>KILKA SŁÓW O SPRAWACH FORMALNYCH</u>	99
<u>Zasiłek macierzyński</u>	101
<u>Zasiłek pogrzebowy</u>	102
***	104
<u>Minęło 16 miesięcy</u>	104

Przedmowa

Moja książka ma charakter nietypowy. W pierwszej części opisuję własne przeżycie i moment utraty dziecka podczas porodu. To bardzo rzadko poruszany temat, odkładany „pod dywan”, powiedziałabym, że to wręcz temat tabu, jednak bardzo potrzebny. Bo każda ciąża, nawet ta, która rozwija się prawidłowo (tak jak u mnie), może nagle zakończyć się tragicznie. Całe otoczenie przygotowane jest na powitanie nowego członka rodziny, nowego Obywatela świata. Jednak nikt, albo bardzo niewielu jest przygotowanych na śmierć dziecka. W obliczu takiej tragedii, wszyscy zadajemy sobie pytanie, co dalej? Jak dalej żyć? Jak się zachować, żeby bardziej nie urazić rodziców?

Czy lepiej rozmawiać, czy lepiej przemilczeć tę tragedię?

Na przestrzeni wielu miesięcy od straty dziecka doszłam do wniosku, że każda reakcja otoczenia, z którą się spotkałam była zła, niewłaściwa.

Dlatego postanowiłam pokazać Wam, drodzy Czytelnicy, drogę, którą powinniście iść, kiedy taka tragedia dotknie bezpośrednio Was lub kogoś z Waszego otoczenia.

I nie jest ważne, czy jesteś lekarzem, który przyjmuje poród, czy jesteś pielęgniarką, która opiekuje się kobietą po stracie. Być może jesteś ojcem, który musi powiedzieć żonie, że Wasze dziecko nie żyje. Może to Twoja córka lub syn stracili właśnie dziecko? A może jesteś sąsiadem, może dziadkiem czy babcią?

Nieważne. Książka przeznaczona jest dla wszystkich, których bezpośrednio lub pośrednio dotyka tego rodzaju śmierć. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że książka jest dla wszystkich.

Bo jeśli dotąd nie spotkało Cię takie nieszczęście, może kiedyś zetkniesz się z podobną historią w swoim otoczeniu. I wtedy całkiem nieświadomie możesz popełnić błędy, które spotęgują dramat rodzinny.

Co roku w Polsce 2000 dzieci rodzi się martwych. Jeśli chodzi o poronienia jest to liczba blisko 40 tys. rocznie. Jednak nie o liczby tu chodzi. Bo za każdą liczbą, za każdą tego rodzaju stratą kryje się dramat, często osamotnionych i zagubionych w takiej chwili rodziców.

Każda śmierć jest straszna, wyjątkowo nieodgadniona, nieprzewidywalna. Ale śmierć dziecka jest czymś najbardziej okrutnym. Zwłaszcza gdy umiera małe dziecko. Rodzice nie powinni chować swoich dzieci...

Pokażę Państwu, jak wiele błędów popełniają bliskie osoby, aczkolwiek zdają sobie sprawę, że robią to nieświadomie.

Nikomu nie życzę, aby znalazł się w takiej sytuacji jak ja. Ale wobec faktu śmierci nikt nie wie, co przyniesie mu jutrzejszy dzień.

Dlatego będę szczęśliwa, jeśli choć jedna osoba skorzysta z moich wskazówek i rad. Zapewniam, że dzięki temu ludzie, których strata dziecka dotknęła bezpośrednio, zobaczą w Was przyjaciela i będzie im łatwiej, choćby przez chwilę. A przecież o to nam wszystkim chodzi, prawda? Żeby nie ranić nikogo, kto jest nam bliski. Żeby było mniej łez, mniej bólu i cierpienia.

Karolina Zwolenkiewicz

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

08 września – czwartek

- Pani wyniki są bardzo dobre, ciśnienie prawidłowe, dziecko jest już ułożone w kanale rodnym. Nie ma możliwości, żeby zmieniło swoją pozycję do czasu porodu - powiedział do mnie lekarz, podczas gdy wycierałam swój brzuch po badaniu usg.
- Panie doktorze, czy to znaczy, że nie będę miała cesarskiego cięcia? – spytałam
- Proszę się nie obawiać. Dwa tygodnie temu miałem takie przypuszczenia, ponieważ dziecko było ułożone poprzecznie. Na szczęście odwróciło się i wszystko jest jak najbardziej prawidłowo.
- Czy uważa pan, że mogę urodzić wcześniej? Zaczyna się ósmy miesiąc – powiedziałam.
- Nie, nic na to nie wskazuje, wszystko jest w porządku. Proszę zarejestrować się u mojej asystentki na badanie KTG, za 2 tygodnie. Posłuchamy serduszka Pani dziecka...

Upalna sobota – 10 września 2005 r.

Obudziłam się nagle czując, że całe prześcieradło jest mokre. Momentalnie zbladłam, ale dałam radę wykrztusić z siebie:

- Maciej, odeszły mi wody! - krzyknęłam.
- Jak to? Już? – usłyszałam przestraszony głos.

Maciej nie był na to przygotowany tak samo, jak i ja. Do terminu porodu zostało jeszcze dobre 5 tygodni. Zresztą dwa dni temu ginekolog zapewniał mnie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i nie mamy się spodziewać szybszego przyjścia na świat naszego synka.

Z krótkiego zamyślenia wyrwał mnie głos Macieja wchodzącego nerwowo do pokoju:

- Co robimy? Boli Cię coś? Masz regularne skurcze? – spytał.
- Nie, spokojnie, nic mnie nie boli, ale musimy jechać natychmiast do szpitala – odpowiedziałam najspokojniej jak tylko potrafiłam. Chociaż w głębi duszy wcale nie byłam spokojna. Delikatnie rzecz ujmując, byłam lekko przerażona. Jednak, jako że nie byłam pierworódką, zdawałam sobie sprawę, że kiedy odchodzą wody, to już czas być pod opieką lekarzy. Nie dawała mi spokoju myśl, że kiedy 12 lat temu byłam w ciąży, objawy zbliżającego się porodu były zupełnie inne. Najpierw przyszły bóle, potem dopiero odeszły mi wody płodowe. Pamiętam, że poród Mateusza był strasznym przeżyciem, rodziłam go blisko 9 godzin i długo nie mogłam tego zapomnieć. Może właśnie dlatego tyle lat zwlekałam z decyzją o kolejnym dziecku?

Nadszedł zresztą czas, aby Mateusz przestał być jedynakiem.

Spakowanie torby zajęło nam jakieś 1,5 minuty. Kolejne 5 minut trwała droga do szpitala. Na szczęście mamy blisko, a dziś przy

pięknej, słonecznej sobocie nie ma korków. Raczej wszyscy gdzieś grillują.

- Jesteśmy. Jak się czujesz? – spytał z troską przyszły tatuś zajeżdżając pod szpital.
- Dobrze, nic mnie nie boli, mały kopie jak zwykle, więc może to fałszywy alarm, ale lepiej niech mnie zbadają – odpowiedziałam. Z trudem jednak wysiadłam się z samochodu. Nic mnie nie bolało, jednak byłam strasznie przestraszona.

Witaj służbo zdrowia – pomyślałam, kiedy spojrzałam na otwierające się drzwi do szpitala miejskiego.

W poczekalni pośpiesznie zerknęłam na tablicę z nazwiskami lekarzy mających dyżur. Pamiętałam, co powiedział mi mój ginekolog. Od początku chciałam mieć znieczulenie zewnątrzoponowe. Lekarz przygotował mnie psychicznie: jeśli dyżur będzie miał anestezjolog mężczyzna, śmiało mogę prosić o znieczulenie. Jeśli trafię na kobietę, to szkoda zachodu, kobiety w naszym mieście rzadko robią to dobrze.

Odetchnęłam z ulgą.

Anestezjolog facet – pomyślałam.

Więc może jednak nie będzie bolało, tak jak wtedy, kiedy rodziłam Mateusza. Cóż, nie ma odwrotu.

Odwagi dodawała mi myśl, że tym razem będzie przy mnie ukochany mężczyzna.

Kiedyś nie było takiej możliwości.

Idziemy dalej i tu zaczynają się pierwsze „schody”. Strażnik gestem ręki sygnalizującym STOP poinformował nas, że izba przyjęć dla kobiet w ciąży jest zajęta. Trzeba czekać.

Usiadłam i zaczęłam myśleć, czy niczego nie zapomnieliśmy w tym pośpiechu. Kaftaniki, śpioszki, pieluchy.

- Eee, jakby czegoś zabrakło Maciej pojedzie do domu i przywiezie – uspokołam myśli.

Maciej jak na odpowiedzialnego, przyszłego tatę przystało nie wytrzymał jednak czekania. Wstał i nie zważając na strażnika otworzył drzwi do położniczej izby przyjęć:

- Przepraszam, mojej żonie odeszły wody płodowe. To 8 miesiąc, potrzebujemy pomocy – poinformował położną stanowczo, tak że cała poczekalnia wiedziała już o mnie wszystko.

W tym samym momencie strażnik krzyknął do Macieja:

- Musi pan przeparkować samochód, bo wezwę policję. Stoi pan na miejscu dla karettek.
- Proszę pana, moja żona rodzi, muszę przy niej być – odpowiedział Maciej
- Zanim urodzi, 100 razy zdąży pan przeparkować – zaśmiał się strażnik.
- Co za służbista? – pomyślałam.

Nasze dziecko chce przyjść na świat, a tu gość czepia się takich drobiazgów. Ale cóż, to jego praca, ma rację, Maciej zdąży.

Już dawno ustaliliśmy, że chcemy rodzić razem. Wiem, co to znaczy rodzić w osamotnieniu, pośród innych rodzących. Będzie mi różnie, poza tym przyszyły tatuś obiecał, że przetnie pępowinę.

Z tych radosnych myśli wyrwał mnie głos położnej, która zaprosiła mnie do środka.

- Proszę, niech pani wejdzie – powiedziała beznamiętnie, rutynowo.

Do drzwi, z miejsca gdzie siedziałam miałam jakieś 4-5 metrów. Szłam powoli, bo nagle poczułam się gorzej. Robiło mi się słabo. Czułam, jak wody płodowe sączą mi po nogach. Wchodząc do sali spojrzałam na podłogę i omal nie zemdlałam. To nie były wody płodowe... to krew. Obejrzałam się za siebie, zerkając na krzesło, na którym siedziałam i zobaczyłam wielką plamę krwi. Byłam przerażona – nie mniej – jak zauważyłam od położnej i całej rzeszy ludzi będących w poczekalni.

W tym czasie Maciej „walczył słownie” ze strażnikiem, który pozostawał nieugięty w kwestii prawidłowego parkowania przed szpitalem.

Kiedy dotarłam do małego pokoiku, położna zostawiła mnie na chwilę samą, krzycząc, żebym szybko zdjęła spodnie i... gdzieś wybiegła.

W małym niezbyt przytulnym pomieszczeniu, za kotarą leżała kobieta w ciąży. Miała podłączone KTG: słyszałam bicie serca jej maleństwa.

W miarę upływu czasu stawałam się jednak coraz bardziej niespokojna. Próbowałam zdjąć spodnie, ale na podłodze była już wielka kałuża krwi. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Gdybym oglądała taki krwotok w jakimś filmie powiedziałabym, że reżyser przesadził. Leciało ze mnie jak z kranu, a ja, mimo iż nie odczuwałam żadnego bólu, byłam coraz słabsza.

Nagle wróciła, a w zasadzie wbiegła położna. Przed sobą pchała stary, zardzewiały wózek inwalidzki – jak się za chwilę okazało przeznaczony dla mnie.

- Czuje Pani ruchy dziecka? – zapytała przestraszona.
- Oczywiście – odpowiedziałam.
- Proszę siadać - wskazała na wózek.

Usiadłam pokornie, bez butów, spodni i majtek, cała czerwona od krwi. Czułam się upokorzona, pozbawiona godności, od pasa w dół byłam przecież naga.

- Czy tak wygląda „rodzenie po ludzku”? – przemknęło mi przez myśl.

Położna nerwowo zaczęła rozglądać się wokół. Po chwili zamasztyłym ruchem wyciągnęła z szafki białe prześcieradło, nakryła mnie niczym stół i szybko wypchnęła wózek na korytarz.

W poczekalni było mnóstwo ludzi, zerkali na mnie ukradkiem, jedni z niedowierzaniem kiwali głowami, inni szeptali między sobą. Wiem, gonił nas czas, a jednak można by w jakiś sposób odgrodzić izbę przyjęć od miejsca, gdzie przewija się mnóstwo ludzi. Aby zachować chociaż odrobinę intymności.

Dokładnie naprzeciwko znajdowały się duże blaszane drzwi od windy. Nie była to winda dla osób z zewnątrz. Wnętrze dość duże, bardzo czyste, przystosowane do przewożenia leżących pacjentów.

Jechałyśmy w górę kilka sekund, oddział porodowy znajduje się dokładnie nad izbą przyjęć. W czasie tej krótkiej podróży położna szybko zadawała pytania, jak turnieju telewizyjnym, gdzie każda sekunda zbliża do wygranej.

- Który to miesiąc?
- Ósmy – odpowiadałam równie szybko.
- Kiedy termin porodu?
- 23 października.
- Kiedy była Pani ostatnio u ginekologa?
- W czwartek, 8 września – odpowiedziałam jak automat.
- Dwa dni temu? I nic u Pani nie wykrył? – spytała zdziwiona.
- Nie, czułam się bardzo dobrze, aż do dzisiaj – odpowiedziałam zirytowana.
- Ma Pani bóle?
- Nie, nic mnie nie boli, jest mi tylko słabo – odpowiedziałam powoli, bo miałam wrażenie, że faktycznie robi mi się niedobrze.

Na szczęście był to już koniec podróży. Drzwi windy otworzyły się i szybko wjechałyśmy prosto na oddział.

Słyszę krzyki, przed oczami przeplata mi się mnóstwo osób w białych kitlach. W oddali słyszę dzwonek, jakby ktoś włączył sygnał alarmowy. Kątem oka dostrzegam w boksie dla rodzących parę: kobietę i obok mężczyznę trzymającego ją za rękę. Poród rodzinny – pomyślałam.

- Gdzie jest Maciej? – przebiega mi przez myśl.
- Ach, parkuje samochód – przypomniałam sobie.

Wokół mnie krzątania, wszystko jakby w przyspieszonym tempie. Ktoś do mnie krzyczy:

- Proszę się tu położyć.

Z trudem wstaję z wózka. Jestem słaba, coraz słabsza, ale kładę się na kozetce. Jakaś kobieta w białym fartuchu, przypuszczalnie położna, bez ostrzeżenia wkłada mi palce w narządy rodne. Zabolało. To pierwszy ból, jaki poczułam od ... od początku ciąży. Ale robi to tak szybko, że nie mam nawet czasu zareagować. Zaczyna dopadać mnie paniczny strach po tym, co ta kobieta krzyknęła tuż po badaniu:

- Czuję łożysko – usłyszał ją chyba cały oddział.

W tym momencie kilka postaci wokół mnie zaczyna ruszać się jeszcze szybciej. Nie wstaję już z tej kozetki, każą mi leżeć. Jak się okazuje to rodzaj noszy na kółkach. Znowu gdzieś ze mną jadą,

biegną, coś krzyczą jeden przez drugiego. Wpatrzona w sufit, przerażona, osamotniona w tym tłumie specjalistów, jestem zupełnie zdezorientowana. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nikt ze mną nie rozmawia. Wszystko dzieje się jakby w przyspieszonym tempie.

Ta atmosfera zaczyna we mnie budzić lęk i przerażenie. Boję się. Boję się, że dzieje się coś bardzo złego. Jednocześnie czuję się coraz słabsza, jakbym traciła świadomość.

- Gdzie jest Maciej? – myślę.
- Gdyby tu był, nie pozwoliliby, żeby tak mnie traktowali.
- Na pewno zaraz przyjdzie, tylko przeparkuje ten cholerny samochód – próbuję się sama uspokajać.

Jedziemy kilka, może kilkanaście metrów. Nagle wjeżdżamy do zielonej sali.

- Jak tu ładnie – pomyślałam – zielono.

Zielony kolor powinien uspokajać, ale ja wcale nie jestem spokojna.

Kilka kobiet zgrabnym ruchem przenosi mnie na – jak się później okazuje stół operacyjny. Zrobiły to bardzo zgrabnie – na trzy, dokładnie jak na filmach. Raz, dwa, trzy i jestem już na stole.

Sala pełna ludzi i dziwnych urządzeń. W jednej ścianie wybite okno, przez które widać sąsiednią salę porodów. Próbuję podnieść głowę, ale ktoś stanowczym głosem mówi, żebym się nie ruszała. Położna przypina mi do brzucha słuchawkę od KTG. Słyszę serduszko naszego synka. Przez chwilę ten dźwięk przynosi mi ukojenie. Przez

chwilę, bo nagle dźwięk się urywa. Zdenerwowana rozglądam się wokół.

Dziwne, kontakty znajdują się nie w ścianie, ale są podwieszane pod sufitem. Jakaś niezdarna pielęgniarka przechodząc obok zaczepiła o kabel i odłączyła KTG. Teraz już wiem, dlaczego ten kojący dźwięk tak nagle się urwał. Przez zwykłą niezdarność.

Po lewej stronie widzę twarz mężczyzny. Kolejna osoba, która zaczyna ze mną zabawę w pytania i odpowiedzi:

- Choruje pani na coś? – pyta spokojnie.
- Nie – odpowiadam cicho.
- Na serce – drąży dalej lekarz.
- Nie – odpowiadam.
- Na cukrzycę?
- Nie – mówię.

Nagle pojawia się kolejny lekarz. Jest tuż przy moim kroczu. Nie widzę jego twarzy, zasłania ją maska chirurgiczna. W dłoniach osłoniętych rękawiczkami trzyma potężne, chyba 30 cm szczypce zakończone wacikiem, którym smaruje mój brzuch. Wacik, jak zdążyłam zauważyć nasączony jest jakimś dziwnym żółtawym płynem. Znowu czuję strach.

Wydaje mi się, że jestem tu już tak długo, a nadal nie wiem, co się dzieje. Kątem oka zerkam na okno wybite w ścianie, w nadziei, że zobaczę tam twarz Macieja. Niestety, nie widzę go tam.

Nie wiem dlaczego, ale odczuwam zaufanie do lekarza, który stoi po mojej lewej stronie. To pewnie anestezjolog. Może dlatego takie są moje odczucia, bo jest tuż obok mnie. Mogę zachować pewnego rodzaju intymność mówiąc do niego. Gdybym chciała powiedzieć coś do lekarza będącego przy moich narządach rodnych, musiałabym krzyknąć. A anestezjolog jest tuż obok mojego lewego ucha.

Odwracam głowę w jego stronę i zadaję mu najgłupsze pytanie, jakie przychodzi mi do głowy:

- Czy to mnie będzie bolało? – w moich oczach z pewnością zauważył strach. Jestem tu przecież sama – myślę sobie.
- Nie - odpowiedział bardzo spokojnie anestezjolog wstrzykując mi jednocześnie zastrzyk w lewą rękę.
- Zaraz Pani zaśnie i nic nie będzie Pani czuła.
- Co on mówi? – zastanawiam się.

Przecież nie chce mi się spać.

I nagle, po kilku sekundach twarz lekarza staje się niewyraźna, jakby za mgłą. Głosy słyszę coraz słabiej, jakby z innego pokoju, z dalekiego korytarza. Aż w końcu zapada ciemność. Jestem w śnie narkotycznym. Urywa mi się film. Nic nie słyszę, nic nie widzę, nic nie czuję, moje mięśnie są całkowicie zmiotczale.

W tym samym czasie....

Maciej nerwowo wbiegł do poczekalni. Nie zważając na protesty strażnika z impetem otworzył drzwi, za którymi jak przypuszczał jest

jego żona. Otworzył je i zastygł w milczeniu. Krew napłynęła mu do głowy. Zrobiło mu się słabo. Nie spodziewał się, że ujrzy tak przerażający widok.

W pomieszczeniu za kotarą leżała obca kobieta z podłączonym KTG. To nie była jednak Karolina. Tysiące myśli nie pozwalały mu uspokoić drżenia całego ciała. Jego uwagę przykuła wielka kałuża krwi na środku pokoju. Obok zakrwawione spodnie, w których przyjechała Karolina. Widok jak po morderstwie w filmie kryminalnym. Nie wiedział, co zrobić. W kałuży krwi stała jakby znajoma torba.

Tak, to nasza torba – pomyślał. Torba z niezbędnymi rzeczami. Szybko wyciągnął z niej pieluszki tetrowe i bezmyślnie zaczął wycierać krew z podłogi. Ale nagle zamarł. Zaczął zastanawiać się, gdzie jest Karolina.

Z osłupienia wyrwał go strażnik:

- Tam nie wolno wchodzić. Pana żona jest już na górze – krzyknął.

Nie słuchał tego, co mówi człowiek w czarnym mundurze. Wybiegł z pomieszczenia i nerwowo zaczął przyciskać guzik przywołujący windę.

- To winda dla personelu. Musi Pan kupić obuwie ochronne i udać się na I piętro windą dla odwiedzających. Prosto korytarzem, potem w lewo....
- Jeśli mojej żonie się coś stanie...- przerwał mu stanowczo Maciej i głos mu się załamał.

W tym momencie głośno otworzyły się drzwi windy

Nie zważając na dalsze protesty, Maciej wskoczył do niej pośpiesznie, a ta głośno ruszyła w górę.

Wydawało mu się, że jedzie całą wieczność. W windzie panowała cisza, a jednak słyszał bicie swojego serca.

Nagle drzwi otworzyły się i jego oczom ukazał się widok ponurego oddziału porodowego. Pierwszą osobą, którą spotkał była kobieta, która przypuszczalnie przywiozła tu Karolinę. Tak mu się zdawało. To na pewno ta kobieta z dołu.

- Gdzie jest moja żona? – krzyknął.
- Proszę się uspokoić. Ma pan kartę ciąży? – spytała.
- Tak, tak – nerwowo zaczął szukać jej w kieszeniach torby.

Z nerwów nie mógł znaleźć, a przecież leżała na samym wierzchu. W końcu znalazł.

- Jest – powiedział podając jej lekko zakrwawioną kartę.

Nie czekając na dalszy rozwój zdarzeń kobieta wzięła dokument i biegiem udała się w głąb sali.

- O co tu chodzi?
- Mieliśmy mieć poród rodzinny?

Tego rodzaju pytania zaczęły nasuwać się Maciejowi. Sam nie potrafił na nie odpowiedzieć, więc wracały jak bumerang i dokonywały w jego głowie strasznego spustoszenia.

Z oddali dostrzegł kobietę, która idzie w jego stronę.

To ta sama kobieta, która przed chwilą wzięła od niego potrzebne dokumenty.

- Proszę usiąść – powiedziała z oddali zanim do niego doszła.
- Wypełnimy teraz dokumenty przyjęcia na oddział.
- Rozumie pan, to wyjątkowa sytuacja, nie zdążyliśmy tego zrobić przed operacją – próbowała się wytłumaczyć.
- Jakie dokumenty, jaka operacja, gdzie jest moja żona? Mieliśmy mieć poród rodzinny, co się stało?

Maciej już nie mógł opanować zdenerwowania, które coraz bardziej przypominało rozpacz.

- Proszę pana, pana żona jest na sali operacyjnej. Jest przeprowadzane cesarskie cięcie. Nie może pan tam wejść. Za kilkadziesiąt minut będzie po wszystkim. Wtedy zobaczy pan żonę i dziecko. – powiedziała.

W jej głosie nie było żadnych emocji. Ani dobrych, ani złych. Po prostu powiedziała to jak automat.

- Jak to za kilkadziesiąt minut?
- Co ja mam robić przez ten czas?

- Niech ktoś mi udzieli jakichś informacji. – powiedział stanowczym głosem.
- Przykro mi, ja nic nie wiem, lekarze są na sali operacyjnej. Jak skończą porozmawia pan z lekarzem.

Wyszedł na korytarz. Nerwowo zastanawiał się, co ma robić. Wyciągnął komórkę z kieszeni i zadzwonił do pierwszej osoby, która przyszła mu na myśl. To kolega z czasów szkolnych. Lekarz.

Może przyjedzie tu i wyjaśni mi, o co chodzi. – pomyślał.

Rozmawiał z nim krótko, ale rzeczowo. Stanisław obiecał, że za parę minut będzie.

Parę minut, parę minut – powtarzał sobie w myślach z przerażeniem. Dla niego w tej chwili 1 minuta to wieczność, a cóż dopiero parę minut.

Potem zadzwonił do kolejnego przyjaciela – Marcina. Ten również obiecał, że za chwilę przyjedzie.

Pojawili się prawie jednocześnie. Stanisław, jako lekarz, potrafił utrzymać zdenerwowanie na wodzy. Robił to przecież zawodowo. Nie mógł ulegać emocjom. Chłodno oceniał sytuację.

W krótkim czasie udało mu się dowiedzieć, co się stało.

- Karolina jest pod narkozą, miała krwotok, prawdopodobnie łożysko przodujące, jest w dobrych rękach. Kowalski to jeden z najlepszych chirurgów w środowisku ginekologicznym. Ale... musimy czekać – powiedział bardzo spokojnie.

Marcin natomiast pełnił rolę po prostu przyjaciela, który jest i to wystarczy. Jego obecność to rodzaj wsparcia duchowego. Niepotrzebne są słowa, wystarczy obecność, ręka położona na ramieniu. To wystarczy. Na razie.

Co kilka chwil Stanisław udaje się w głąb oddziału, by wrócić z niezmienną od wielu minut informacją.

- Musimy czekać. Operacja jeszcze trwa.

W głowie Macieja...

Jeszcze 30 minut temu myślałem, że stres osiągnął szczyt, ale to nieprawda. Najgorsze miało dopiero nadejść. Brak informacji zrobiło swoje, krzątanina tych wszystkich ludzi...

Tysiące myśli przebiegają mi przez umysł, zaczyna pojawiać się strach...

Przecież jeszcze kilka godzin temu było OK... przecież w czwartek lekarz zapewniał, że wszystko jest dobrze.

Więc co się stało? – pytam sam siebie.

Nagle wychodzą dwie kobiety. Idą korytarzem... Jedna ma w rękach małe zawiniątko. Długo dyskutują w odległości paru metrów, nie wiem o czym, nie słyszę.

Kurczę się w sobie, czekam na cios, zaczynam domyślać się wszystkiego.

Jedna z nich odchodzi (ta, która ma zawiniątko w dłoniach).

Druga zmierza w moja stronę mówiąc z oddali:

- *AKCJA REANIMACYJNA TRWAŁA 30 MINUT. PRZYKRO MI, ALE NIE UDAŁO SIĘ URATOWAĆ DZIECKA.*
- Jak to?- myślę sobie.
- Czy to, co mówiła ta kobieta, to na pewno było do mnie?
- Czy to znaczy, że mój syn nie żyje?
- Dawid nie żyje?

Ciemność, rozpacz, strach i wielki ból ogarnia mnie w jednej sekundzie.

Nic do mnie nie dociera, to nie może się dziać naprawdę, tego nie ma, to jakiś zły sen. Zaraz się obudzę i zobaczę obok Karolinę, dotknę jej brzucha i poczuję jak Dawid mnie kopie. Mamy przecież jeszcze dużo czasu – do 23 października.

To zły sen...

Dłoń przyjaciela zaciska się na moim barku, pojawił się ginekolog. Mówi coś do mnie, jakby to był film w zwolnionym tempie filmie. Już wiem, że to nie jest sen. To się dzieje naprawdę. Każde słowo przygniata mnie do ziemi bardziej i bardziej. Słowa, które są jak gwoździe dla mojego świata, który rozsypuje się jak domek z kart.

„Mogę stracić Karolinę, utraciła dużo krwi, 2 godziny pokażą, czy przeżyje. Trzeba czekać, modlić się i mieć nadzieję” – te słowa docierają do mnie po chwili.

Chcę o coś spytać, ale ginekolog już odszedł.

Znowu brak informacji. Zaczynamy jej szukać z przyjacielem. Przy okazji on dzwoni do moich bliskich, ja nie jestem w stanie.

Trzeba walczyć o życie Karoliny, resztę zostawić na później.

Spotykamy znajomą pielęgniarkę, która mówi:

„Trzyma ciśnienie, szanse na przeżycie wzrosły o 10 procent.”

To pierwsza dobra informacja, jaką usłyszałem od godziny.

Północ

Chodzę do lekarza co 30 minut. Jest zimno. Na oddział przesyłam kartki dla Karoliny. Z lekarzem postanawiamy, że nie mogę do niej iść.

Bo... Ona wtedy wszystko zrozumie...

Wystarczy, że na mnie spojrzy, a wtedy... może nam uciec tam, gdzie jest nasz syn Dawid, pogrążyć się w tunelu.

Może nie przeżyć drugiego krwotoku, naprawdę jest za wcześnie. Jej stan musi być stabilny.

Jak skorzystać z wiedzy zawartej w pełnej wersji ebooka?

Relację matki, która utraciła dziecko znajdziesz w pełnej wersji ebooka. Dowiesz się jak radzić sobie z tymi trudnymi emocjami i jak pomagać osobom, których dotknęła śmierć najbliższych.

<http://strata-dziecka.zlotemysli.pl>

Jak radzić sobie po stracie dziecka?



**Poleć znajomemu e-booka
i zarób 50% jego wartości**



**Kupuj e-booki za punkty,
nie za złotówki**